№ 18. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 20 Kwietnia (2 Maja) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

SĄD SALOMONA.

Odpowiedział król i rzekł: „Dajcie tej dziecię żywe, a nie zabijajcie go: bo ta jest matka jego.“

III Księga król. Rozd. 3-ci Ust. 27.

Przed Salomona królewskie oblicze,
Spowite w blaski mądrości i chwałę,
Przyszły dwie matki — jedna dziecię małe,
A druga skargi przynosi gorycze:

* * *

„Lud sprawiedliwym nazywa cię, królu!
„Sława twych sądów rozbrzmiewa po świecie...
„Bądź dzisiaj sędzią matczynego bólu!
„Patrz! ta kobieta wydarła mi dziecię!

* * *

„Pod jednym dachem z jej i z mego łona
„Na świat ten przyszły dwie drobne istoty —
„Dwóm nam zabłysnął promień szczęścia złoty
„I dwieśmy matki — oto ja i ona!

* * *

„Kiedy jej dziecko umarło przedwcześnie,
„Matczynem łonem uduszone we śnie,
„Do mego łoża skradła się, gadzina,
„I za swe dziecko wzięła mego syna

* * *

„To moja własność! — to krew moja żywa!
„To jam je w bólu i męce powiła!
„Ona mi dziecię zpod serca wyrywa!..
„Czyż mi je wydrzeć zdoła jaka siła?!

* * *

„U stóp twych kornie dziś czołgam się, Panie,
„I tak się czołgać będę do ostatka,
„Póki cię moje nie wzruszy błaganie,
„Póki nie pojmiesz, że błaga cię matka.“

* * *

A druga rzecze: — „Niewiasta ta kłamie!
„Niechaj nie wniknie jej głos do twej duszy!
„Niechaj, o królu, wszechwładne twe ramię
„Za takie kłamstwo w nędzny proch ją skruszy!

* * *

„Jej to za karę grzechów i sromoty
„Zabrał Bóg syna — więc, bólem szalona,
„To moje dziecię, ot ten skarb mój złoty,
„Od matczynego oderwać chce łona.“

* * *

„—Ha!“—krzyknie pierwsza—„Słyszę niecne słowa,
„I serca, które tajemnicę chowa,
„Nie mogę dobyć, drgającego bólem,
„By je okazać przed tobą, przed królem!“

* * *

Król schylił głowę — w zadumania chmurze
Legło mu czoło... Wrzały myśli burze...
Po chwili powstał... Z królewskiego oka
Potężnem światłem błysła myśl głęboka.

* * *

Rzekł: — „Głosem matki wy obie mówicie
„I Bóg wie tylko, czyje to jest dziecię...
„Więc, aby żadnej krzywdy się nie stało,
„Między dwie dzielcie tę dziecinę małą!

* * *

„Między dwie matki rozdzielcie na dwoje!
„Bierzcie miecz ostry! — a miejcie w pamięci,
„Że krew dziecięca sprawiedliwość święci!
„Oto, niewiasty, macie sądy moje!“

* * *

Słysząc to, jedna z jękiem dziecka broni
I ból się krzykiem z piersi jej wyrywa:
—„Niech ta dziecina należy już do niej —
„Do tej kobiety — ale cała, żywa!

* * *

„Niechaj ją karmi mlekiem piersi swojej
„Jak prawa matka!... Niech się uspokoi!"
A druga z niecnem szyderstwem odpowie:
—„Słusznie król mówi — weźmy po połowie!"

* * *

Powstał Salomon — błysła mu z oblicza
Głębia potężnej myśli tajemicza
I głosem wielkim przemówił w te słowa:
—„Nie jam was sądził — sądził was Jehowa!

* * *

„O! Pan rozjaśnił mrok kłamstwa ponury —
„On zna najgłębsze serc ludzkich zagadki,
„Jehowa wielki! — on przez usta matki
„Przemówił krzykiem potężnej natury!

* * *

„Ty, coś dziecinę wydarła z rąk kata,
„Weź ją i odejdź, tym skarbem bogata!
„To twoje dziecię! — bólem rozszalałą,
„Że matką jesteś, serce cię wydało!"

Antoni Pilecki.

Z TYGODNIA

Rozszerza się w tej chwili szczuplutki zakres naszych kronik, dzięki echom katastrofy, która na dalekim Zachodzie wstrząsnęła dreszczem przerażenia. Mówimy tu o straszliwym wybuchu w prochowni nad Tybrem, tuż pod samym Rzymem, o ścianę nieledwie z Watykanem. 3,000 centnarów materyału wybuchowego w jednej chwili zamieniło się w piorun, który hucząc, we wszystkich kierunkach rozbijał i rwał wściekle, co napotkał. Na dwudziestu kilku morgach pola nie pozostało nic, okrom straszliwego spustoszenia, w którem ślady tego, co było przedtem, zatarte. Na miejscu budynków doły, głębokie na dwadzieścia metrów, wyrwy zapełnione spopielałemi szczątkami. Na polach zniszczone wszystko, drzewa sterczą opalonemi, pogruchotanemi pniami, jak widma, domy i chaty poznikały, z niemi i ludzie.

Do dnia dzisiejszego straty nie są jeszcze obliczone i z każdą chwilą rosną. Załoga prochowa przepadła, zostali z niej tylko jeden żołnierz, stojący na straży u wrót, ocalony sposobem niepojętym, i kapitan-dyrektor, któremu eksplozya urwała obie nogi.

Dzielnica nadtybrzańska Rzymu ucierpiała bardzo. Setki domów uległy szkodliwemu nadwerężeniu, które sprowadza zawalenia cochwilowe. Cztery kościoły zamknięto, bo mury ich chwieją się i drżą i lada chwila runąć mogą. Kopuła na bazylice Św. Piotra zrysowała się, ściana od zachodu nadwerężona, na Watykanie szkód mnóstwo, prawie niepowetowanych. Sławne *loggie* z freskami Rafaelowskiemi ocalały o tyle, że same te dzieła sztuki sterczą niewzruszenie śród rumowiska. Biblioteka uległa częściowemu zniszczeniu.

Wybuch słychać było na kilka mil wokoło. Przerażone nim okoliczne miasta i miasteczka zapytywały telegraficznie, co się stało? Nie przypuszczano zrazu, że to robota ludzka, siła rąk człowieczych, popchnięta w kierunku niewłaściwym. Śniły się strwożonym umysłom wstrząśnienia ziemi, nowe zapadanie się Ischii, lub dreszcze Riviery. Takiemi głosami ryczy tylko i huczy natura sama, ta potężna a kapryśna atletka, której siły są bezmierne. Nie, to tylko 3,000 centnarów prochu, któremu się znudziła bezczynność!

Rzym przerażony, gdy przyszedł do siebie, począł się rozglądać, zastanawiać i z nowym strachem spostrzegł, że na przedmieściach jego znajdują się inne jeszcze prochownie i że przy lada okazyi, którą przypadek sprowadza niespodziewanie a łatwo, 8,000 centnarów prochu może go w rumowisko i perzynę obrócić. Śliczna sprawa! Rzym nie ma ochoty być poszarpanym na strzępy, ani rozbitym na miazgę, ani też spalonym na popiół... Rzym wyprasza się bardzo od tych zaszczytów i *patres* miasta zapytywali pokornie, czyby nie dobrze było istniejące we wnętrzu jego młyny prochowe poprzenosić gdzieś daleko? Przecież ten gród, który stróżował Europie przy jej kolebce, który królował, rządził, zdobywał, gromadził, badał, uczył, a wreszcie tworzył i zbierał, jako muzeum wart jest, aby go zachowano dla przyszłości. Gwoli młynom prochowym i urojonym korzyściom aliansów z nieboszczykiem „kanclerzem" nie godziłoby się wysadzać go w powietrze i zostawiać jego ślady tylko w książkach.

Po katastrofie nad Tybrem cichutko i bez szczególnego wrażenia przeszła katastrofa nad Wisłą, jednogodzinna pożoga sklepu przy ulicy Brackiej i Chmielnej, która przecież zabrała aż trzy życia. Najprostszy przypadek i nic więcej, ale który jednak budzi pewne poważne refleksye. Idzie mianowicie o to, czy kiedykolwiek zdobędziemy się na jakiś pewny, niezawodny sposób najszybszego alarmowania straży ogniowej wrazie pożaru? W przypadku, o którym mowa, trzeba było posyłać zawiadomienie dorożką, depesza bowiem telefonowa celu chybiła i błąkała się, a choć stróżów obowiązkowo na ulicach winno być sporo, żadnemu z nich nie łatwo wyskoczyć z kożucha i biedz po waryacku na złamanie karku. Zresztą ci mężowie w godzinach przymusowej czujności tak bywają rozespani, że czy się pali, czy wali, czy ogień grozi czy woda, im wszystko jedno.

Ach to rozespanie, to rozespanie! Pożar wszczął się nad ranem, a u nas *rano*, to najgłębszy sen, to pierwsze przewrócenie się z boku na bok, najrozkoszniejsza rozkosz bezświadomości. Jakie my jesteśmy śpiochy, to pojęcie przechodzi! Jeśli się komu trafi potrzeba rannego wyjazdu, może być najpewniejszym, że dorożki nie dostanie, gdy jej sobie zgóry nie zamówił. Siódma godzina to okropnie wcześnie! Wszak-ci to j. w. tramwaje rozpędzają się na dobre dopiero około dziewiątej, a „Bazar pracy kobiecej" o tej godzinie słodko poziewa i duma, czy może już sobie pozwolić na otworzenie jednego oka... A kiedy „Bazar" jeszcze śpi, to znaczy że śpią i te, co na chleb pracować muszą, że w dziedzinie pracy kobiecej wszystko drzemie, wszystko spoczywa, jak owe sezamowe drzwi zakładu... „filantropijnego," które nawet dla biedy i pracy zawcześnie otwierać się nie lubią.

Wiosna spóźnia się okrutnie, także widocznie śpiąca i nudna. Deszcze chlapią wciąż, czasem przeplatane śniegiem, pędzone wiatrem, uprzykrzone, niepozbyte. Ustawiczny plusk spadających kropel stanowi ciągłą muzykę, świdrującą uszy uparcie. Żebyż się to już raz skończyło!

Maleńką przerwę w tych nudach wiosennych stanowiło widowisko w teatrze Nowym, urządzone na korzyść Jana Galasiewicza, aktora i autora. Ciężka choroba powaliła go w Grudniu i wiodła przez wszystkie ścieżki niebezpieczeństwa, które jednak minęło. Galasiewicz, nad wyraz sympatyczny twórca „Czartowskiej Ławy" i „Ciarachów" obecnie powraca już do zdrowia. Niedziw, młodość wiele znieść pozwala.

Gorzej było z Moltkem, którego śmierć niespodziewana jest obecnie przedmiotem artykułów i rozpraw gazeciarskich w całym świecie.

Miał lat tyle, że zgon jego mógł być przewidywany, a jednak zadziwił wszystkich. Na pół godziny przed końcem, który przyszedł nagle jak piorun, marszałek siedział jeszcze przy stole, gawędząc, odpoczywając wesoło po trudach wyjątkowo pracowicie spędzonego dnia. Funkcye serca ustały niespodziewanie i cesarz niemiecki, jak podobno sam powiedział, „stracił w nieboszczyku całą armią."

Nie znam się na zasługach i talencie zmarłego strategika, ale mam jakieś wewnętrzne a uparte przekonanie, że się rychło znajdzie ktoś, co go dostatecznie zastąpi. Sądzę tak dlatego, iż nie wierzę w geniusz jednostkowy wielkich mężów pruskich, ale wierzę zato w ten ponury, żelazny geniusz całego ich narodu, który stworzył systemat... Bismarków, Moltków i Hartmanów. Potężnym tam być musi, kto jest tego ducha blizkim, jak kółko wybornie przypasowane w młocie mechanicznym, rozbijającym płytę stalową na atomy.

A u nas, na bruku warszawskim, agituje się tymczasem kwestya zbudowania wykwintnej dzielnicy miasta nad Wisłą, wedle projektu pana Devarsa. Projekt ten w rozmaitych waryantach wracał już pokilkakroć na stół i zawsze okazywał się niepraktycznym, bo zakosztownym. Kapitaliści francuzcy serdecznie pragną uszczęśliwić i przyozdobić Warszawę, byle się to dla nich samych korzystnem okazało. Inaczej oczywiście być nie może. Przecież to nie filantropia, jeno przemysł! Że jednak przemysł kosztowny, a Warszawa nateraz z groszem liczyć się musi i oceniać należycie wartość ofiarowywanych sobie udogodnień, przeto zamysły pana Devarsa nieprędko chyba znajdą urzeczywistnienie.

Tymczasem poprzestańmy na... kolei do Czerniakowa, której budowie opóźniająca się wiosna ciągle płata psikusy. Ale to nic, roboty postępują raźnie i niema obawy opóźnienia większego nad dni kilka. W dniu 5 Maja będziemy się mogli tramwajem puścić na pierwszą majówkę!

Maryusz.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Przed samą rogatką karawan stanął, jakby w oczekiwaniu, czy znów ktoś nie zdejmie trumny, według przyjętego zwyczaju, i nie poniesie do grobu.

Nastała nawet, wskutek tego, pewna chwila zakłopotania.

Zaraz jednak poskoczył znów pan Konrad i obaj jego koledzy, a wślad za nimi zjawił się z grona starców, pan Iwaszkiewicz, i jak poprzednio, przy ruszeniu z kaplicy, ujęto znów trumnę na ramiona.

Obrany grób znajdował się zaraz za kościołem, nieopodal drugiej bramy cmentarnej, a przykład młodzieży począł działać na staruszków zaraźliwie. Zanim pochód stanął nad świeżo rozkopaną mogiłą, już pana Iwaszkiewicza zluzował Słodecki, a i trzęsący się pan Łopatkiewicz począł dopominać się zcicha o miejsce dla siebie przy tej posłudze.

— Daj Jasiu, wezmę!

— Zadyszałbyś się! — bronił Słodecki i już nie ustąpił.

Kapłan odśpiewał modlitwy, wezwał obecnych do westchnienia za duszę ś. p. Ignacego i niebawem po wieku spuszczonej trumny zadudniały grudki wyschniętej gliny.

Pani Kamilla zapłakała zcicha, Maniutka poczęła też ocierać załzawione oczki, Jakubowa westchnęła: „Boże, Boże!..." Staruszkowie szeptali zcicha pacierze, żegnając się od czasu do czasu.

Dół zapełniał się zwolna, mogiła rosła, kapłan wraz z kościelnym, rozebrawszy się z komży i ornatu, zabrali się do wyjścia, a pan Konrad stał ciągle nieporuszony, jakby wpatrywał się w robotę grabarzy, nic poza nią nie widząc.

Ręce wprawdzie złożył i palce zaplótł, niby do pacierza, ale zaciśnięte usta jego nie drgnęły wcale, a zaplecione ręce tarły się, dłoń o dłoń, w jakichś nerwowych poruszeniach.

— Wieczne odpocznienie! — szepnął głośniej Łopatkiewicz, kończąc swój cichy pacierz.

I zwracając się do towarzyszów swoich, dodał z westchnieniem:

— Pójdziemy!

— Trzeba! Czas! — odparł tym samym tonem radca Piotrowski.

Słowa te zbudziły z odrętwienia pana Konrada. Teraz dopiero, przypominając sobie o swych obowiązkach, podszedł ku starcom i zwróciwszy się głównie do pana Piotrowskiego, przedstawił się, dziękując zarazem w prostych, krótkich wyrazach za posługę oddaną stryjowi.

— Nie było mnie w Warszawie... Dziękuję! — mówił.

Każdy z emerytów uścisnął mu dłoń zkolei, poczem w zbitej gromadce, trzymając się razem, ruszyli zwolna ku wyjściu. Przed ruszeniem radca Piotrowski ukłonił się pani Kamilli.

Było to jakby nowem przypomnieniem dla pana Konrada. Nie zwlekając ani chwili dłużej, zostawił szepcących coś do niego kolegów, a sam poskoczył z czapką w ręku ku obu paniom, które już także parę kroków odstąpiły od grobu.

Pani Kamilla, widząc że się zbliża, powitała go już zdala uprzejmym uśmiechem, jakby przezeń chciała mu dać do poznania, iż wszelka prezentacya jest tu zbyteczną, i zachęcić go niejako do tego zbliżenia.

Stanąwszy o krok przed trzymającemi się pod ręce matką i córką, młody człowiek raz jeszcze się ukłonił.

— Wybaczy pani — mówił nie bez pewnego zakłopotania, ale mimo to dość śmiało spoglądając w oczy pani Kamilli, — wybaczy pani, że zbliżam się nieznany...

— Pan Dąbrowski, nieprawdaż? — przerwała pani Kamilla.

— Tak, pani... Wiem, a raczej domyślam się, jakim wobec pani jestem dłużnikiem—mówił dalej.— Pani raczyła zająć się pogrzebem stryja... Brak mi słów, aby pani za to podziękować... Tak to prędko się stało... Dziś rano nie wiedziałem jeszcze o niczem. Myślałem, że stryj stu lat dożyje...

Tyle znów było szczerego smutku i żalu w tych ostatnich wyrazach, że pani Kamilla nanowo uczuła łzy w oczach.

— Pan nie bawił w Warszawie? — spytała, postępując umyślnie naprzód, wraz z przytuloną do jej ramienia Maniutką, aby ukryć swe zakłopotanie.

— Blizko od trzech miesięcy — brzmiała odpowiedź, przyczem młody człowiek obejrzał się nieznacznie na swych kolegów, a widząc że ci ruszyli już także od mogiły, wraz z Zdzisiem, począł towarzyszyć obu paniom ku bramie cmentarnej.

— A wraca pan?... — spytała znów pani Trzcińska, dla podtrzymania rozmowy.

— Obecnie z niedaleka, zpod Pułtuska. Przedtem siedziałem długo na Podolu. Robiliśmy też wycieczkę do Odessy i Krymu. Przed tygodniem, ponieważ to już czas było wracać, a chcieliśmy jeszcze jednego z kolegów odwiedzić, pojechaliśmy wprost, nie zawadzając o Warszawę, do majątku jego rodziców, właśnie pod Pułtusk. Tam to znalazła mię dziś rano depesza, wracająca z Podola, gdzie najpierw ją wysłano...

Zbliżono się tymczasem do bramy cmentarnej, przed którą oczekiwała najęta kareta pani Kamilli, oraz powóz z wiejskim stangretem, którym przybyli młodzi ludzie.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, w powietrzu była cisza, a na ruchliwej niekiedy ulicy pustka prawie zupełna.

Dwie doróżki z emerytami znikały właśnie na zakręcie ulicy, poza rogatką, a stara Jakóbowa, ruszywszy już także ku miastu, zatrzymała się przy pierwszej bramie, około jakiejś pary żebraków, rozdzielając między nich jałmużnę za duszę ś. p. Jakóba, mularza. Ten dodatek wydawał jej się koniecznym, aby pacierz dziadowski, podobno najskuteczniejszy, tem łatwiej trafił do stóp Najwyższego.

Pani Kamilla, stanąwszy przed karetą, na chodniku, obejrzała się za Zdzisiem, który, postępując o kilkanaście kroków wtyle, rozmawiał najspokojniej z obu kolegami pana Konrada.

Młody człowiek, widząc w tym jej ruchu zbliżającą się chwilę pożegnania, szepnął jeszcze:

— Panie pozwolą, że przyjdę jutro z podziękowaniem za to... to... dobrodziejstwo wasze?

Ów zwrot do obu pań naraz, usprawiedliwiony tem, że Maniutka, stając obok matki, naprzeciw młodego człowieka, prawie dopiero teraz ukazała się zupełnie jego oczom, skłonił panią Trzcińską do odezwania się w formie prezentacyi:

— Moja córka...

Pan Konrad ukłonił się z szacunkiem.

— Wiem — rzekł, — miałem już szczęście widzieć raz panią...

Nie dostrzegł płomieni, które oblały twarz dziewczyny przy tych słowach, bo nie patrzył na nią w tej chwili.

Zaraz zresztą dodał smutniej, mając na myśli nieboszczyka:

— On żył jeszcze wtedy!...

W tej chwili zbliżyli się towarzysze pana Konrada wraz ze Zdzisiem, który, podbiegając naprzód, zawołał z entuzyazmem:

— Mamusiu, mamusiu! Jakie ja porobiłem znajomości!

Niewczesny okrzyk chłopca wywołał mimowolny uśmiech na usta pani Kamilli, a zarazem zmusił pana Konrada do zaprezentowania swoich kolegów.

Pani Trzcińska uznała niejako tę konieczność, bo sama zaproponowała:

— Niechże pan przedstawi nam kolegów.

— Pan Marczewski... Pan Schwartz! — odezwał się pan Konrad.

Na te słowa ukłonił się najprzód ów paniczyk, później ów chorowity młodzieniec, wyglądający na południowca.

Pani Kamilla i Maniutka skłoniły uprzejmie głowami.

Zdziś począł coś szczebiotać, czepiając się ręki siostry, nikt jednak w tej chwili na niego nie zważał.

Należało zakończyć zbyt długo przeciągające się pożegnanie.

— Oczekujemy więc pana jutro, w każdej porze— przemówiła pani Trzcińska, zwracając się do pana Konrada. — A może i panowie — dodała do obu jego kolegów — zechcą sobie o nas kiedy przypomnieć?

Obaj młodzi studenci ukłonili się znów szarmancko, z jakąś jednak wojskową niemal akuratnością, która w każdem innem miejscu i w innych warunkach zabawne mogła była sprawić wrażenie.

Pan Konrad dopomógł wsiąść do karety pani Kamilli, podając jej rękę. Maniutka wskoczyła sama lekko.

— Zdzisiu! — zawołała pani Kamilla już z powozu.

— Zaraz, mamusiu! — odparł chłopiec i począł się żegnać z nowymi znajomymi.

W zapale podał rękę i panu Konradowi, nie zdając już sobie sprawy z tego, że wcale go dotąd nie znał.

Jeszcze obustronne ukłony — i kareta ruszyła.

Młodzi ludzie zostali sami przed pustą o tej porze bramą cmentarną.

Ciszy nic nie mąciło. Z głębi cienistego cmentarza szła wilgoć, kłócąc się z żarem rozpalonej słońcem ulicy.

Młodzieniec, nazwany Schwartzem, zbliżył się do oczekującego z powozem stangreta.

— Cóż Kuba? — zapytał. — Konie wytchnęły?

— Dobre koniska, proszę panicza! — brzmiała odpowiedź uśmiechniętego sługi. — Sam jaśnie pan je wybierał, to i dał najlepsze. Nic im nie będzie... Można ano choćby zaraz wracać do domu...

— Ale! — podchwycił młodzieniec. — A obiad? Przecież chyba i tyś głodny?

— Jak tam wola, paniczu!

— No, niema o czem gadać! Zostaniemy do jutra. Zawieziesz nas, gdzie każemy, a potem pojedziesz do hotelu Saskiego i weźmiesz dla koni remizę, a dla siebie numer. Powiesz tylko czyj jesteś i zkąd, to tamci już chyba niczego nie zbraknie. Rozumiesz, Kubuś?

— Słucham! Powiem: z Mańkocic!

— Otóż.

Po tej odpowiedzi pan Schwartz zwrócił się do swych towarzyszów, którzy stali obok siebie na chodniku, szepcząc zcicha.

— Konrad! Kaziek! Toż my bez obiadu! — zawołał.

— Prawda! — podchwycił Marczewski. — Niema co, jedźmy chyba do Stępka! Zgoda, Konrad?

— Gdzie chcecie, moi drodzy, gdzie chcecie! — odparł zagadnięty. — Pozwólcie tylko, że to już do

mnie będzie należało... Ja was ugoszczę... Nie uwierzycie, jakim wam wdzięczny... Dziś dopiero obu was poznałem!

— Głupstwo! — zawołał Marczewski.

— Nic z tego!—dodał równocześnie Schwartz.— Jesteś jeszcze ciągle w naszym domu, bo w naszym powozie... to jest w moim, mojego ojca i mojego kochanego gościa, Kazika!... To już do nas należy... No, siadaj, nie marudź!

Pan Konrad, nic nie odparłszy, uścisnął ręce obu towarzyszom.

— Gdzie mam jechać? — zapytał Kuba, gdy młodzi zajęli miejsce w wygodnym, odkrytym powozie.

— Do Stępkowskiego! — wrzasnął Marczewski.

Kuba poskrobał się po głowie.

— Ale ja tu bez te różne ulice nie dam rady... W tę stronę, tom ano wlókł się za trumną...

— Dobrze, dobrze! Wal prosto przed siebie, a na skrętach pytaj. Wskażemy drogę.

Kuba ruszył z kopyta, jakby chciał dowieść swego zapewnienia o wytrzymałości koni.

Czas jakiś zeszedł w milczeniu.

— Ale ta mała śliczna dziewczyna! — odezwał się naraz Marczewski.

— Przystojna! — potwierdził pan Konrad po chwili namysłu, wiedząc o kim mowa.

— A ten pogrzeb twego stryja! — podchwycił Schwartz. — Ci staruszkowie... Wszystko to snać ludzie ze stanowiskami... bardzo ciekawi!...

— Istotnie! Tak warto żyć na świecie! — rzekł Marczewski. — Małe, ale dobrane kółko przyjaciół.

— Jak my! — podszepnął znów Schwartz, wyciągając obie ręce do spoczywających na przedniem siedzeniu kolegów.

Przez chwilkę znów nikt nic nie mówił.

— Tak mi żal tego mojego starego — odezwał się wreszcie pan Konrad. — Tak mi żal!... Tam, na wsi, wśród was, moi kochani, na wieść o tej śmierci, wcalem jakoś nie zdawał sobie sprawy ze swojej straty... Teraz to dopiero rozumiem... Żadne już związki krwi nie wiążą mię ze światem... Szedłem, co prawda, zawsze sam przez życie, alem teraz dopiero sam został!

Milczenie, jakie po tych słowach zaległo, głuszył turkot szybko toczącego się po bruku powozu. Konie parskały cochwilę, jakby nie przywykły do powietrza miejskiego, ale gnały ochoczo.

Na skręcie ku Bielańskiej dopędzono karetę pani Kamilli.

— Patrzcie! — zawołał pierwszy Marczewski, trącając w kolano siedzącego naprzeciw Schwartza.

I znów trzy czapki studenckie pochyliły się w ukłonie.

W karecie, obok pani Kamilli, Maniutki i Zdzisia, siedziała już także stara Jakóbowa, którą po drodze, mimo jej energicznych protestacyj, zabrano, aby nie szła pieszo. Wskutek tych certacyj, które dość czasu zabrały, a także dzięki rączości wiejskich koni, młodzi tem łatwiej mogli dopędzić karetę.

— O! ładna ta mała! — zawołał znów Marczewski, choć już teraz żaden z jego towarzyszów nie zwrócił wcale uwagi na ten wykrzyknik.

Za co jednak tak uparcie nazywał ją „małą"?

Smukła, szczupła, mogła się zaliczać do wysokich, a w tej chwili czuła, że jeszcze rośnie. Napełniało ją bowiem nieznane dotąd szczęście.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ODCZYTY.

Doktór Teodor Heryng poświęcił dwa swoje odczyty „Przyczynom chorób płucnych i ich zapobieganiu." Ciekawy to, ale ponury temat; przyznam się, że nieraz zimny dreszcz mnie przeszedł, gdym go słuchał. I niedziw, bo któż z nieprzyzwyczajonych nie przejmie się uczuciem zgrozy na widok flaszeczki niewielkiej z żelatyną, na której powierzni bieleją kolonie laseczników gruźliczych, i na myśl, że mikroskopijnych tych żyjątek jest tam dość do zabicia 10,000 osób? Publiczność, nielicznie, niestety! zebrana, gorącemi oklaskami witała i żegnała szanownego prelegenta, który mówił nadzwyczaj zwięźle, jasno, przystępnie, treściwie i nawet pięknie, zarówno przykuwając myśl słuchaczy, jak i chwytając ich, w niektórych miejscach, za serce pełnemi grozy obrazami, w słowa poety niemal ujętemi.

Przejdźmy jednak do treści tych odczytów.

Suchotami nazywa się pospolicie choroba, polegająca na niezwykłej niedokrwistości, złem odżywianiu się, braku apetytu, objawiająca się gorączką, potami, kaszlem i t. d. i prowadząca do *wyschnięcia* i śmierci. Suchoty w tym sensie mogą mieć za przyczynę katary chroniczne płuc, zapalenia błon płucnych, wrzody w płucach, jednem słowem wszystkie prowadzące do złego odżywiania się choroby i t. d., najczęściej jednak sprawcami ich są laseczniki gruźlicze.

Przy suchotach gruźliczych w płucach formują się małe guziczki (gruzełki), które następnie łączą się w grupy, w duże ogniska; dalej rozpoczyna się proces ropienia się i rozpadu, wytwarzający kawerny.

Wtedy pierwotna gorączka zwiększa się, oddech zostaje utrudnionym zpowodu zmniejszenia się powierzchni zetknięcia się krwi z powietrzem, co sprowadza też niedokrwistość i upadek sił; wreszcie gruzełki zaczynają się wytwarzać we wszystkich organach ciała (wbrew pospolitemu przekonaniu publiczności, ograniczającej zakres ich panowania do płuc i gardła), gorączka dochodzi do maksimum i następują tak zwane suchoty galopujące i śmierć.

Oto jest w najkrótszem streszczeniu historya wiedzy o suchotach gruźliczych. W roku 1865 lekarz Villemain udowodnił zaraźliwość gruźlicy, wstrzykując królikom i świnkom brany z gruzełków jad specyficzny, co po 12—24 dni niechybnie wywoływało objawy gruźlicy. Doświadczenia z mlekiem krów, dotkniętych t. zw. perlicą (gruźlicą krowią) potwierdziły też w zupełności teoryą Villemaina.

W roku 1882 Koch odkrył, że przyczyną formowania się gruzełków był lasecznik gruźliczy i to genialne odkrycie stało się dopiero podstawą racyonalnego traktowania.

Wszystkie choroby zakaźne, jak tyfus, karbunkuł, róża, cholera i t. p., mają za przyczynę dostrzegalne tylko przez mikroskop mikroorganizmy, które, stosownie do formy swej okrągławej lub nitkowatej, dzielą się na koki i laseczniki. Nie wszystkie jednak mikroby są szkodliwe.

Drogi zaraźliwości suchot są liczne; lasecznik może się dostać do organizmu przedewszystkiem przez szczepienie, którego naturalnie nikt umyślnie na człowieku by nie dokonał. Pewien lekarz z Mentony, ukłówszy się przez nieostrożność igłą do rozcierania plwociny, zauważył po paru tygodniach, że miejsce ukłucia zgrubiało, zgrubienie rozszerzyło się następnie na stawy, powodując ból i ogólne osłabienie całego organizmu. Doktór Nussbaum z Monachium dokonał wyskrobania dotkniętego miejsca, a badanie części wyskrobanych ujawniło obecność lasecznika gruźliczego. Dalej lasecznik przenika przez skórę: bywały wypadki, że praczki zarażały się bielizną suchotników; szczególnie chustki, w które suchotnik spluwał, są w tym względzie niebezpieczne.

Przewód pokarmowy może być też drogą zarażenia się. Tak na przykład niektóre doświadczenia ujawniły obecność lasecznika w wodzie, w której opłukano winogrona. Następnie liczne i niepodlegające dyskusyi doświadczenia udowodniły, że muchy, których wnętrze wielką ilość laseczników zawiera, mogą je wyrzucać na pokarmy i tą drogą szerzyć zarazę. Lasecznik wreszcie przenika też i przez błony śluzowe, czego dowodem są wypadki gruźliczego owrzodzenia nosa, spowodowane użyciem chustki, zbrukanej plwociną suchotniczą. Wreszcie spowodować może chorobę kurz, zawierający w sobie laseczniki, unoszące się w powietrzu z wysuszonej i roztartej plwociny, która w stanie wilgotnym szkodliwa sama przez się nie jest.

Na 100 osób pielęgnujących suchotników umiera 64, zaraźliwość więc choroby jest ogromna i groźna szczególnie dla rodziny, sióstr miłosierdzia i wszystkich bliżej chorego się znajdujących. Często też zarażenie się bezpośrednie dzieci od rodziców przyjmowane bywa za objaw dziedziczności. Doświadczenia z kurzem z sal szpitalnych dla suchotników udowodniły, że w 15 na 22 wypadkach jest on zaraźliwy.

Organizm sam się broni od zarazy pomimo naszej świadomości. Krążki wyściełające kanały oddechowe wymiatają nazewnątrz szkodliwe bakterye, niektóre zaś z nich, dostawszy się do krwi, bywają tam pożerane i niszczone przez ciałka jej białe, zniszczeniu temu jednak opiera się lasecznik gruźliczy. Wreszcie moc dezynfekcyjną posiada i samo osocze krwi, z czego też wysnuł doktór Librelch swój sposób leczenia gruźlicy.

Celem zapobieżenia przeniknięciu zarazka do organizmu dziecinnego należy pamiętać, że usposabiają organizm do jego przyjęcia wszelkie stany zapalne nosa, gardła, krtani, oskrzeli, następnie skrofuloza, trzeba więc bez zwłoki starać się zwalczyć jedno i drugie. Dzieci wątłe z rodziców suchotników nie powinny być przeciążane pracą, jedną zaś z najważniejszych pod tym względem rzeczy jest racyonalny wybór pokoju na sypialnię, która winna być dostatecznie uposażona w powietrze i światło, spanie zaś w pokojach ciemnych i ciasnych jest, dla dzieci szczególnie, wprost zabójcze.

Powiedziałem już wyżej, że mleko krów gruźliczych jest zaraźliwe, należy też dawać dziecku mleko tylko przegotowane, lub sterylizowane. Zaraźliwość też mleka, ku sławie przekupniów, niszczy rozprowadzenie go wodą w czwartej części lub wpołowie. Tembardziej trującem musi więc być mleko mamki suchotnicy, zabójczym zresztą może się stać i pocałunek dotkniętej tą chorobą niańki; bywały wypadki, że wywoływał on gruźlicę lokalną, a następnie ogólną. Dzieci nigdy się nie powinny znajdować w pokojach plujących na podłogę suchotników, posługiwać się ich serwetami, ręcznikami, szczególnie zaś chustkami do nosa; należy im też wzbraniać brania do ust z ziemi rozmaitych przedmiotów. Miejsce też tu na uwagę, że w początkach swych gruźlica lokalna (w migdałkach, kościach, gruczołach szyjnych), może być bez pozostawienia śladów usunięta przez operacyą chirurgiczną.

Środki zapobiegania zarazie sprowadzają się głównie do zabezpieczenia się od plwociny gruźliczej, to też nietylko w szpitalach i domach prywatnych, gdzie są suchotnicy, powinny być dla nich spluwaczki, aby nie pluli ani na podłogę, ani w chustki, lecz winny się też one znajdować w szkołach, fabrykach i wogóle w miejscach, gdzie wiele ludzi się skupia. Dezynfekcya w mieszkaniach po suchotnikach powinna polegać na zmyciu wszystkiego, co się da, sublimatem lub czemś w tym rodzaju, wytarciu ścian chlebem, którego okruszyny spalić potem trzeba, i wyrzuceniu mebli miękkich, firanek, portyer i t. d.

Prelegent zakończył życzeniem, aby u nas jaknajprędzej mogły powstać sanatorya racyonalne dla dotkniętych chorobą, która zabiera $^1/_7$ lub nawet $^1/_6$ część wszystkich ofiar śmierci w Europie. Straszliwem jest konanie suchotników na ogólnych salach szpitalnych, gdzie szerzą oni prócz tego zarazę wśród swych zdrowych w tym względzie sąsiadów. Brak im tam i powietrza i pokarmu odpowiedniego; zamiast dostatecznej ilości wina, mleka i mięsa dają im tran i lekarstwa. Nie możemy marzyć o zakładach w rodzaju hebersdorfskiego, a nadzieję nawet na baraki zamiejskie tylko w dobroczynności ogółu lub przejętych świadomością potrzeby i duchem ofiarności jednostek pokładać tylko można. Baraki takie powinny być dość wysoko wzniesione, w blizkości lasów, jeśli można, i winny też być zabezpieczone od wiatrów północnych.

Przekonanie o wyłącznej zdrowotności pewnych klimatów jest przesądem i tylko dobre odżywianie i świeże, zdrowe powietrze jakiejkolwiek miejscowości może coś zdziałać dla suchotnika.

Prelegent demonstrował przed publicznością wielką ilość rysunków szematycznych, preparatów gruźliczych, jako też i kultur lasecznika gruźliczego i sposobów jego hodowli i zabarwiania.

J. N.

INTELIGENCYA MAŁP.

(Dokończenie.)

Małpy umieją oceniać *ciężar*. Dawałem swojemu rezusowi jaja pełne i inne wydrążone tak zgrabnie, że nie mogło spostrzedz tego nawet oko ludzkie. Zpoczątku gryzł jedne i drugie, potem gryzł tylko pełne, a próżne odrzucał, nie rozgryzając ich wcale. Przedłużałem te doświadczenia, podając mu jaja napełnione opiłkami żelaza, ołowiem, trocinami i piaskiem. Po kilku próbach nie dawał się dłużej oszukiwać, chyba że podawałem mu tak przyrządzone jajko, iż jego ciężar właściwy był taki sam, jak prawdziwego jajka.

Nie wszystkie małpy posiadają tę zdolność probowania ciężaru jaj. Jeden *Ateles paniscus*, siedm osobników gatunku Cebus capucinus, dwa Cercopithecus diana, jeden magot (Innus caudatus) i jedenaście młodych Cercocebus radiatus gryzły wszystkie jaja bez różnicy i dopiero potem je odrzucały.

Co do *drażliwości* małp, Perty utrzymuje, że są one bardzo drażliwe na szyderstwa lub na urojone obrazy. Małpy mają, co prawda, temperament sangwiniczny, więc rozdrażniają się bardzo łatwo. Ale co się tyczy owych obraz urojonych, to dość jest przypatrzyć się zachowaniu się widzów, zebranych przed mieszkaniem małp, aby się przekonać, że te obrazy nie są bynajmniej urojone. I to chyba tylko może nas dziwić, że małpy z ich temperamentem i ze wspomnieniami poprzedniego rodzaju życia zachowują jeszcze tyle dobrego humoru pośród nowych warunków istnienia.

Nie można zaprzeczyć, że małpy mają pewne, choć słabe, *pojęcie liczby*. Mój Molly przywykł do otrzymywania zawsze jednej i tej samej liczby sztuk czy to marchwi, czy jabłek, czy kartofli i t. d. i jeśli kiedy liczba nie była zupełną, umiał to doskonale zauważyć. Dostawał on mianowicie codzień po cztery jabłka; gdy czasem kazałem mu trzy tylko przynieść, nieodchodził od kraty, póki mu nie dano czwartego.

Muzyka niewiele go wzruszała; trąbka myśliwska sprawiała mu przykrość i dla uniknięcia jej dźwięku krył się pod słomę; tak samo działał na niego stuk przy wbijaniu gdzieś w pobliżu gwoździ w ścianę. Drapał się wtedy w uszy dla usunięcia uczucia drgań.

Ciekawy a badawczy umysł małpy czyni z niej *wybornego stróża*. Ile to razy mój rezus zwracał uwagę na drzwi zostawione otworem, na przedmiot jaki, znajdujący się nie na swojem miejscu!

Mógłbym tu wymienić wiele przykładów i wykazać wielką wyższość małp nad psami używanemi za stróżów. Na Jawie zresztą niema nigdzie stajni bez stróżującego makaka.

Pominę milczeniem różne sposoby zabaw, przy których małpy składają tyle dowodów lekkości, złośliwości, a niekiedy i taktu. Przytoczę tylko jeden rys komiczny rezusa; był on zachwycony, kiedy mu dano cygaro lub fajkę zapaloną do gęby; napełniał wtedy dymem swoje torebki podszczękowe, a potem wypuszczał go nosem.

Małpy umieją porównywać *przyczynę ze skutkiem* i wyciągać ztąd wnioski; mam na to setki dowodów, z których jeden wystarczy.

Mleko dla moich pensyonarzy było ogrzewane do temperatury 22°,5 nad lampą Berzeliusza, która stała na półce, obok mojego stołu do pracy. Żaden z nich nigdy nie był obecnym przy ogrzewaniu, które odbywało się w pokoiku za kuchnią. Jednak, gdy tylko służący przychodził po lampę, natychmiast rozpoczynał się w pokoju koncert wesołych chrząkań i pełnych zadowolenia pomruków i to *bez względu na porę* dnia, o której się to działo. Wiedziały zatem małpy, że lampa jest potrzebna do ich posiłku.

Muszę tu podnieść okoliczność, którą zazwyczaj przesadzają i która bywa źródłem mnóstwa niedorzecznych anegdot, mianowicie na mający istnieć u małp nieograniczony duch *naśladownictwa*.

Człowiek i małpa, pomimo wszystkich spostrzeżeń przeciwnych, wynikłych po większej części z nieuctwa i pychy, są tak blizko spokrewnieni ze sobą pod względem fizycznym i umysłowym, że ich popędy są prawie jednakie, a przynajmniej nadzwyczaj do siebie zbliżone. Jeżeli małpa się drapie, je, albo pije tak samo jak człowiek, czyni to nie przez naśladownictwo, ale skutkiem podobieństwa swojego ukształcenia cielesnego i intelektualnego z ukształceniem człowieka. Opowiadano, że ta lub owa małpa naśladowała wszystko, co robił jej pan, ale wszystkie opowieści tego rodzaju należą do dziedziny bajek.

Małpy mają swoję własną *mowę*, którą dobrze rozumieją osobniki tego samego gatunku. Gatunki mało do siebie zbliżone dopiero po upływie dłuższego czasu zaczynają się wzajemnie rozumieć. Gatunki bardzo od siebie dalekie, jak na przykład małpy nowego świata (np. Cetus hypoleucus, capucinus, Ateles pauiscus i t. d.) i małpy starego świata (Cynocephalus babuinus, porcarius, Papio mormon, leucophacus, Inuus ecaudatus i t. d.) nie rozumieją się wcale i często potrzeba im lat całych na to, żeby się mogły nareszcie porozumiewać ze sobą. Można powiedzieć, nie przesądzając wszakże tego faktu, że w tym razie uczą się one nowego języka, nowej mowy małpiej. Ponieważ myśli małp mają obszar bardzo ograniczony, a ich potrzeby ściągają się wyłącznie do pożywienia i do walki o byt, przeto i mowa jest bardzo mało urozmaicona i składa się tylko z samogłosek wymawianych rozmaitemi odcieniami głosu, którym towarzyszą odmiany wyrazu twarzy, zależne od pobudek intelektualnych. Okrzyki ich zbliżają się najwięcej do naszych wykrzykników. Mowa ludzi pierwotnych nie musiała się różnić zbyt wiele od mowy małp antropomorficznych i zapewne składała się także w wielkiej części z samogłosek. I dziś jeszcze, w pierwszych miesiącach dzieciństwa, zaczynaliśmy wszyscy od wyrazów takich jak *mama, papa, tata, niania i t. d.*

Śmiech i *uśmiech* napotykają się najczęściej u mandryla i dryla i, umiejąc z pewną zręcznością naśladować te wyrażenia ich uczuć, można je wywoływać dowolnie. Przy uśmiechu małpy te odciągają wtył i ku dołowi spojenia warg, pokazując zęby, ale nic nie mówią i nie otwierają szczęki, a podczas śmiechu roztwierają gębę i wydają głos akcentowany, który możnaby wyrazić przez a-a-a! Młode małpy śmieją się łatwiej, niż stare. Wspaniały *Cynopithecus niger*, którego przez ośm lat chowałem u siebie i który wyrósł ogromnie, w ostatnich miesiącach życia śmiał się tylko wtedy, kiedy go łaskotano, co wywołuje śmiech u większej części małp starego świata i u niektórych gatunków nowego (Cebus ateles).

Inny był uśmiech rezusa. Ten ściągał wtył skórę na głowie, jako oznakę zupełnego błogostanu, a przytem ściskał obie wargi, wysuwając je ku przodowi i jednocześnie robił takie ruchy, jak przy żuciu pokarmu. Przy wyższym stopniu radości roztwierał usta, ukazując przednie zęby i odciągając nadół spojenia warg, a przy prawdziwym śmiechu pokazywał wszystkie zęby aż do środka trzonowych, odrzucał głowę wtył i wydawał wyraźny głos *ki-ki-ki-ki*.

Wewnętrzny *błogostan* i *zadowolenie*, oraz umiarkowana radość wyrażają się u rezusa w sposób następujący. Uszy przez jednę do dwóch sekund odchylają się wtył; skóra czaszki chwilami równie wtył się ściąga, unosząc ze sobą brwi. Wargi wydłużają się i gęba wyciąga się w ryjek rozwarty na końcu na wielkość nasienia bobu. Jednocześnie daje się słyszeć przerywane chrząkanie, niby głos *eh*, powtarzany przy każdem cofnięciu uszu.

W gatunku *Cercocebus radiatus* radość, zadowolenie, uśmiech i śmiech wyrażają się tak samo, jak u rezusa. Stare makaki zachowują się w tym razie jak rezus; młode zupełnie inaczej objawiają swoję radość. I one wysuwają naprzód swoje usta, a skórę czaszki wtył odciągają, ale taką powierzchownie zachowują stale, a nie przerywanie, jak rezus. Przez cały ten czas wargi ich ciągle wyciągnięte, otwierają się i zamykają naprzemian, a z głębi krtani wydobywa się pomruk *uomum*; jednocześnie młody makak porusza głową i patrzy w oczy swojemu panu, albo swojemu towarzyszowi.

U magota (Inuus ecaudatus) radość wyraża się tak dziwacznie, że przy pierwszem wejrzeniu możnaby pomyśleć, że jest rozgniewany. Uszy i brwi są bardzo mało cofnięte; oba rzędy zębów aż do pierwszego lub drugiego zęba trzonowego są odkryte; szew wargowy, mocno wtył odciągnięty, sprawia, że skóra na policzkach tworzy liczne zmarszczki półksiężycowe i spółśrodkowe, a jednocześnie dolna szczęka nader szybko porusza się zgóry nadół, odsuwając się bardzo mało od górnej, co daje widok trochę podobny do klekotu zębów pod wpływem przestrachu. Różnicy pomiędzy uśmiechem i śmiechem nie mogłem u magotów rozróżnić, choć miałem ich u siebie sześćdziesięciu trzech różnej płci i różnego wieku.

Właściwe pawiany *(Cynocephalus hamadryas, babuinus, porcarius, ursinus, flavescens* i t. d.) podczas uśmiechu wysoko podnoszą brwi, przyciskają uszy do głowy i z zamkniętą gębą wydają przerywane dźwięki o-o-o, dopóki nie zaczną się śmiać na dobre. Śmiech ich przypomina trochę szczekanie; gęba jest przy nim znacznie roztwartą.

Cebus capucinus i *hypotenais* dla wyrażenia radości ściągają wtył skórę na czaszce, uszy przybliżają do głowy i wyszczerzają swoje zęby.

Jeszcze słów kilka o *gniewie*.

Rozgniewany rezus czerwienieje, zwłaszcza nos, czoło i części sąsiednie przybierają barwę bladokrwistą. Włos mu się na całem ciele najeża, uszy odstają daleko od głowy, oczy i usta roztwierają się szeroko. Zwierzę wyprostowywa się na czterech swoich kończynach i rzuca się na napastnika. Głowa i piersi dostają drgań nerwowych i daje się słyszeć głuche i gniewne chrząkanie. W taki sam sposób wyraża się uczucie gniewu i u innych gatunków małp, z pewną tylko odmianą wydawanego głosu, zależną od gatunku małpy i od stopnia jej gniewu.

Darwin dał nam doskonałe wytłumaczenie takiej postawy. Mówi on, że małpa dlatego podnosi się, o ile tylko może, na swoich kończynach, aby się wydać wyższą, odsadza uszy aby nie stracić żadnego dźwięku, roztwiera oczy i paszczę, żeby się wydać straszniejszą i przerazić napastnika, pokazując mu zęby, co zwykły czynić i inne zwierzęta drapieżne.

Molly jadał wraz z ogromnym mandrylem i inną wielką małpą z gatunku Cynopithecus niger przy moim stole i dostawał swoję cząstkę ze wszystkich przynoszonych dla mnie półmisków.

Pieczone kurczę i pieczeń baranią przekładał on nad wszelkie inne potrawy. Lubił też bardzo jaja surowe, gotowane i smażone, a ta jego słabostka kosztowała mnie drogo, bo raz zakradłszy się do kurnika mojego sąsiada, wczęści zjadł, wczęści potłukł, a wczęści uniósł ze sobą przeszło 150 jaj kurzych i to rasowych.

Jadał wszelkie gatunki ziarn, lubił wszakże urozmaicać swoje pożywienie, jak wszystkie małpy, co jest skutkiem ich życia w lasach, gdzie znajdują obficie wszelkie gatunki owoców i gdzie dość wyciągnąć rękę, aby mieć nowy jaki przysmak. Z jarzyn nad wszystkie przekładał szparagi. Codzienne jego pożywienie stanowiły owoce, które lubił tak bardzo, że nieraz pustoszył bez litości zapasy moje i moich sąsiadów.

Nagoda.

ZA CZARNE OCZY.

NOWELA.

(Dalszy ciąg.)

Słońce coraz gorętszemi promieniami zalewało ziemię; drzewa i krzewy okrywały się pączkami; państwo Mieczysławowie jeździli na dalekie spacery, bawili się i kochali podawnemu. A jednak...

Czasem Mieczysław zapadał teraz w zamyślenie i trwał w niem całemi godzinami. Napróżno Ewa kręciła się koło niego, napróżno wszczynała rozmowę, dobierając najbardziej zajmujących przedmiotów; zbywał ją półsłówkami lub nawet uciekał do swego pokoju i pod pozorem bólu głowy przesiadywał tam zamknięty.

Co robił?... o czem myślał w godzinach takich? Ewa byłaby dała kilka lat życia, żeby się tego dowiedzieć, ale pytania nie doprowadzały jej do niczego. Przyjmował je z niezadowoleniem aż nadto widocznem, które napróżno ukryć usiłował. Oczy młodej kobiety zachodziły wtenczas łzami, ale nie wybuchała już głośnym płaczem i skargą; bała się, żeby mąż na pociechę nie ofiarował jej laurowych kropli, jak owego wieczoru, kiedy raz pierwszy nie zrozumiał jej serca i nie przeprosił za wyrządzoną przykrość.

Widok różowego domku prześladował wciąż Ewę; nie mogła wyjść, wychylić się, żeby nie zobaczyć tych okien i rysującej się poza jednem pięknej twarzy bladego dziewczęcia, które siadywało tam po dniach całych, z rękoma bezczynnie splecionemi na kolanach i oczyma wpatrzonemi w błękit nieba. Dziewczyna ta nie wydawała się przecież chorą, dlaczegóż jedynem jej zajęciem było pokazywanie światu tej twarzy Madonny, z jej słodkim a zarazem bolesnym wyrazem?

Ewę tę czarne oczy trapiły nawet po nocach. Zdawało jej się, że głębia ich magnetycznie pociąga ku sobie Mieczysława, ile razy przechodzi ulicą lub zbliży się do otwartego okna. Raczej nie zdawało jej się, ale była tego pewną, równie pewną jak tego, że właśnie po każdem ujrzeniu pięknej sąsiadki Mieczysław wpada w zadumę i obojętnieje na pieszczoty i figlarne zaczepki żony, któremi go rozerwać usiłowała.

— Mieciu, mój złoty, jedyny! czy ty mnie kochasz jeszcze tak bardzo, bardzo, jak w pierwszych dniach naszego szczęścia?...

Oparła główkę o jego ramię, a ciemne jedwabne kędziory muskają go po twarzy i szyi; w jej głosie brzmi raczej prośba, niż pytanie.

Mieczysław uśmiechnął się.

— Czy każesz się kochać zawsze jednakowo? nie pozwolisz coraz więcej?

W krótkim a gorącym pocałunku znajduje zapłatę za te słowa, jednak niepewna minka Ewy utwierdza go w przekonaniu, że jest to dopiero *preludyum*.

— Czy zrobisz coś, o co cię ślicznie poproszę?

— Z pewnością, jeżeli to odemnie tylko zależy.

— Od ciebie samego!... Każ spakować rzeczy i wyjeżdżamy do Wołczowej!

Mieczysław zaczerwienił się nagle i zerwał z miejsca:

— Jakto „wyjeżdżamy!" dlaczego?... kiedy?...

— Choćby dziś... jutro, jak będzie można najprędzej. Mój złoty, ja cię tak proszę!

Objęła go ramionami za szyję. Spojrzał, w jej oczach płonęła prośba od najnamiętniejszych pragnień gorętsza.

Brwi ściągnął, odwrócił od żony twarz pomieszaną, niezadowoloną.

— Zkądże taki nagły projekt? Mieliśmy zabawić tu do połowy Maja. Nie widzę, dlaczegoby to zmieniać.

— Nie widzisz? a moje życzenie?

— Wiesz, jak lubię ci dogodzić, ale nie jesteś przecie dzieckiem, któreby się rządziło chwilową zachcianką. Życzenia swego nie możesz poprzeć żadnemi słusznemi powodami.

— Oh, i owszem!... nudno mi tu.

Mieczysław spospępniał jeszcze bardziej.

— To źle — odparł głosem bardzo poważnym,— źle, że ci nudno w życiu, które wybrałaś sobie sama i które zpoczątku przepełniało cię szczęściem... Czy tęsknisz za czem? czy zabrakło ci czegoś, co ukochałaś całą głębią serca, do czego przylgnęłaś wszystkiemi marzeniami młodości?

Mówił powoli i patrzył przed siebie, jak gdyby odpowiadał nie naleganiom żony, ale swoim własnym myślom.

Ewa była prawie przerażona jego poważnym tonem.

— Ależ, Mieciu! ja tego wszystkiego nie mówię; ja ciebie jednego kocham!... i kochałabym tak bardzo, tak bardzo, gdybyś mnie usłuchał!

Tym razem Mieczysław stanowczo usunął się z objęć żony.

— Nie, Ewo, tego nie mogę uczynić... nawet na twoję prośbę; nie wyjedziemy ani o jeden dzień wcześniej.

Ramiona ich rozplotły się. Ewa nie nalegała już, dotknięta odmową, a bardziej jeszcze temi kilku dziwnemi słowami: „Czy zabrakło ci czegoś, co ukochałaś całą głębią serca?..." Co on chciał przez to powiedzieć?... Czy jemu samemu dolega może taka tęsknota?...

Ciepły wiatr wieczorny muskał im rozgrzane czoła. Stali oboje w otwartem oknie i, nie myśląc o tem, patrzyli na różowy domek, którego okna białe firanki chroniły od rażących promieni zachodu. W tej chwili jedna z firanek rozsunęła się i w ramach jej stanęła jak obraz postać pięknej dziewczyny.

Trzymała w ręku kilka przedwczesnych róż i nie wydawała się dziś tak smutną, jak zwykle; uśmiech rozchylał jej usta, nie ożywiając jednak ciemnych źrenic, zawsze jednako poważnych i głębokich. W blasku czerwonych promieni słońca dziwnie, uderzająco piękną była z tym zagadkowym półuśmiechem na twarzy.

Mieczysław cofnął się nagle od okna i zwrócił do swego pokoju. Ewa zastąpiła mu drogę.

— Ty znasz tę dziewczynę! Pewiedz mi, kto ona?

Nigdy jeszcze pod spojrzeniem Ewy tak krwisty rumieniec nie oblał jego czoła.

— Zkądżebym ją znał? co ci przychodzi do głowy! — odparł, próbując usunąć żonę.

— To przysięgnij mi, że jej nie znasz, nie znałeś nigdy!

— Dziecinna jesteś, Ewuniu!... Wynajdujesz sobie ciągle jakieś nieuzasadnione obawy!

Odszedł, Ewa chwilkę patrzyła za nim.

— Boże! Boże! żebym ja miała takie czarne oczy! — wybuchnęła wreszcie, z płaczem rzucając się na kanapkę.

Wczoraj ostatni raz byli w teatrze, dziś po południu zaczną oddawać pożegnalne wizyty, a za tydzień ludność Wołczowej powita ich przy odgłosie muzyki i wystrzałów z moździerza.

Ewa tyle razy o tym dniu marzyła, sama w sekrecie przed mężem ułożyła program całej uroczystości, wie już w którem miejscu będzie tryumfalna brama i który ze starych sług poda im chleb i sól na srebrnej tacy. Już sobie nawet ułożyła całą przemowę do włościan. Bawi ją myśl, że ją jako panią i właścicielkę witać będą; bawiła przynajmniej dawniej. Dziś świat cały przedstawia się jej w barwach tak ciemnych, że nawet myśl o uczcie i wieśniaczym balu, który ma wszystko zakończyć, nie zdołała jej rozweselić.

Miecio wczoraj w teatrze był dziwnie nieswój i roztargniony. Nie patrzył wcale na scenę, po każdym akcie wychodził z loży, a Ewa słyszała na korytarzu krok jego prędki i niecierpliwy. Dziś rano, ledwie wypił filiżankę czystej herbaty, zaczął się zbierać do wyjścia.

— Weź mnie z sobą — zaproponowała Ewa, — muszę sobie kupić podróżną torebkę.

— Nie mogę — odpowiedział prawie szorstko. Ale gdy już wziął kapelusz do ręki, przystąpił do niej i całując ją w czoło, patrzył jej długo, tkliwie w oczy. — Bądź zdrowa! — rzekł prawie uroczyście, — nie czekaj mnie prędko z powrotem, bo mam dziś wiele zajęcia.

Jej się smutno zrobiło, jak gdyby w tych słowach była zapowiedź długiego rozłączenia.

— Nie możesz zostać ze mną? — szepnęła błagalnie.

— Nie mogę. — Uwolnił się z jej objęć i prawie wybiegł z pokoju.

Ewa zasiadła przy oknie z robótką; od pewnego czasu nauczyła się już zapełniać haftem te chwile, których dawniej nigdy nie było jej dość na pieszczotę i rozmowy z mężem. Mieczysław nie pierwszy raz zostawił ją samę, ale nigdy jeszcze nie było jej tak tęskno i nudno, jak dzisiaj. Gdybyż powrócił prędko!

Nareszcie przy samym końcu długiej ulicy oczy Ewy wypatrzyły go i poznały; idzie krokiem bardzo szybkim... Czy i jemu tak pilno do powitalnego uścisku?...

W ręku trzyma parę pąsowych róż. Wmiarę jak się zbliża, Ewa wychyla się coraz bardziej przez otwarte okno; gdyby podniósł głowę, zląkłby się zpewnością, że wypadnie.

Ale on patrzy wciąż przed siebie i wydaje się bardzo zamyślonym. — Jakto? ominął bramę swego domu?... przechodzi na drugą stronę ulicy?... Ewa wychyla się tym razem z prawdziwem niebezpieczeństwem, nic chce wierzyć swoim oczom... A jednak kilkanaście metrów przestrzeni oddziela ją tylko od różowego domku, w którego sieni zniknął.

Nie, to chyba omyłka! Wyjdzie ztamtąd za chwilę! jego nic, nic ciągnąć tam nie może.

Nie wychodzi. Mija minuta, pięć, dziesięć, może cała godzina. Ewa nie wie, ile mija czasu, zdać sobie sprawy nie może, ale patrzy ciągle w punkt jeden, choć od natężenia wzroku wszystkie przedmioty zdają się jej drżeć przed oczyma i chwilami zmieniać się w jednę szarą masę. — Boże!... Boże!.. — jęczy cichym szeptem; wyobraźnia wzburzona przesuwa jej cały szereg obrazów, zaczerpniętych z francuzkich powieści i dramatów, z opowiadań, których słuchała niegdyś obojętnie... z dyskretnych uśmiechów i szeptów, do których dorzucała nieraz dowcipne słówko... Więc takie rzeczy naprawdę dzieją się na świecie? i pan Kornel to miał na myśli, gdy zlekka przedrwiwał wiecznie zazdrosną, zaniepokojoną żonę „pięknego Artura"?

Och, jak to można przeżyć rzecz taką!

Ewa ukrywa twarz w dłoniach, niema ani jednej łzy pod jej powiekami, ale łkanie rozrywa jej piersi. Nie patrzy już w ciemną sień różowego domku; już jej wszystko jedno, kiedy z niej wyjdzie Mieczysław.

Tymczasem nienawistne okna zasuwają się firanką i nikt nie zgadnie, co się tam po za niemi dzieje przez ciąg tych długich dwóch godzin, które dla Ewy trwają wiek cały.

Ach, te czarne oczy!

. . . .

(Dokończenie nastąpi.)



— Michała Jezierskiego **„Dwie powiastki"** stanowią bardzo pierwotnego znaczenia elukubracye, napisane polszczyzną nad wyraz lichą i zanieczyszczoną..Przekonywa o tem okładka, głosząca tytuły powiastek. Jeden brzmi: „Koniec dzieło chwali," chociaż wyrażenie bardzo utarte i w przysłowie od wieków zamienione powiada: „Koniec wieńczy dzieło." Drugi: „Z jednego drzewa krzyż i motyka" (czemu nie *łopata*, jak chce przysłowie), dowodzi również, że autor dalekim jest od znawstwa właściwości językowych. Co się dopiero nie dzieje w tekście! Tam już rozhasane pióro pana Jezierskiego rujnuje cochwila wymagania gramatyki i harcuje po łączce logiki językowej, jak samopas puszczone źrebię. Oto przykład. Pan Bończa Bonczewski, „przyjąwszy z ukłonem filiżankę od żony, pacholę przyniosło mu długi cybuch z sułtańskim tytuniem." Albo: „jest to tajemnica, *którą* żadne matematyczne zrównanie rozwiązać nie może." Takich piękności jest tu bardzo wiele.

Co się tyczy treści utworów, zawartych w książce, są to pomysły oddawna bardzo zużyte. Ani świeżych faktów, ani świeżych postaci, ani jakichś nowych spostrzeżeń i uwag niema tu wcale. O artystycznem obrobieniu autor nie ma pojęcia i opowiada tylko sucho i trywialnie stare bajki.

Z chwili bieżącej.

* **Pomniki dla Królikowskiego i Żółkowskiego** wchodzą w fazę wykonania. Przyjęto już dla pierwszego projekt Lewandowskiego, a dla drugiego projekt Woydygi. Artyści mają obecnie podać kosztorysy i zabrać się do roboty. Pokazuje się tedy, że do wzniesienia pomników wszystko jest przygotowane, okrom pieniędzy; teraz bowiem dopiero, jak się dowiadujemy, komitet budowy pomników myśli o urządzeniu widowiska, koncertu i różnych innych rzeczy, celem zebrania funduszu. Gdzieindziej postępują przeciwnie i zbierają naprzód fundusz, a potem dopiero myślą o konkursie i kosztorysie. U nas inaczej; my nigdy nie przestajemy być, w naszem przekonaniu, tymi, co nie sieją, ani orzą, a Pan Bóg ich żywić musi; tymi, którzy nie zamiary według sił, ale siły mierzą według zamiarów.

* **Nowe Towarzystwo ubezpieczeń**, z główną siedzibą w Warszawie, jak się dowiadujemy, uzyskało zatwierdzenie swoich statutów. Towarzystwo to, mające nosić nazwę: „Przezorność," ma mieć charakter „akcyjno-wzajemny." Nie znając bliżej statutu, nie możemy wyrobić sobie pojęcia, w jaki sposób i w jakim stopniu zdołano w nim pogodzić takie dwa żywioły, napozór tak z sobą sprzeczne jak ogień z wodą, jakiemi są akcyjność i wzajemność. Wiemy o tem, że niema na całym świecie tak prosperującego Towarzystwa ubezpieczeń, jak krakowskie, oparte na zasadzie wzajemności; ale ta pomyślność właśnie ztąd idzie, że tam niema mowy o żadnych akcyach, broń Boże!

* **Towarzystwo popierania przemysłu i handlu**, a właściwie oddział jego tutejszy, wpadł na pomysł urządzenia bezpłatnych kursów gorzelniczych, które, obok początków fizyki i chemii, objąć mają kompletny całokształt sztuki gorzelniczej. Ponieważ jednak trudno odwoływać się do ofiarności czyjejś w imię sprawy pędzenia gorzałki i wykładającym te kursa trzebaby zapłacić, a oddział funduszu na to nie posiada, więc zarząd jego odwoływał się już dwukrotnie do osób w sprawie tej interesowanych, czyli innemi słowy do właścicieli gorzelni. Interesowani snać jednak nie widzą w tem żadnego dla siebie interesu, gdyż dotąd żaden jeszcze podobno na wezwanie nie odpowiedział. A że *vana sine veribus ira*, więc i gorzelnictwo nasze i nadal bez uczonych wykładów prawdopodobnie obchodzić się będzie musiało!...

* **Gaz w kościele** archikatedralnym Św. Jana zostanie zaprowadzony. Roboty już się rozpoczęły i dla nich kościół prawdopodobnie na jakiś czas będzie musiał być zamknięty.

Urządzenie tego oświetlenia ma kosztować 5 tysięcy rubli.

* **Nowa osada rolna** powstanie niebawem w Puszczy, niedaleko od Studzieńca, którą, wraz z Nową Hutą, Towarzystwo osad rolnych otrzymało w darze od zarządu dóbr państwa. Prezes komitetu Towarzystwa, pan Ludwik Górski, ofiarował ze swej strony, na pierwsze potrzeby nowej osady, 1,000 rs. Za tym przykładem hojności na uczciwe cele pójdzie zapewne wielu innych i nowa osada dźwignie się prawdopodobnie niebawem. Nie będzie ona może tak wycackana, jak była studzieniecka, zwłaszcza w początkach, ale to i owszem!

* **Dla drobnego przemysłu** ważny i pożyteczny krok uczynił Radom, otwierając skład wyrobów włościan okolicznych. Brak dróg zbytu sprawia, że włościanie rozmaite gałęzie swego przemysłu, w których nie raz celują, uprawiają tylko w granicach potrzeb domowych. Tymczasem w wielu okolicach gęściej osiadłych, gdzie własność rolna wskutek działów rodzinnych rozdrobniła się zanadto, a najem do prac rolnych nie zapewnia miejscowej ludności utrzymania, taki jeden i drugi przemysł domowy byłby wielką podporą w opędzaniu potrzeb rodziny.

Ułatwianie mu zatem dróg zbytu jest rzeczą dobrą i obywatelską.

* **Nowy zakład hydropatyczny** otwarty zostanie w Niekłaniu już w Czerwcu roku bieżącego. Sprowadzono już potrzebne przyrządy; wille, mieszkania są na ukończeniu.

Niekłań jest-to punkt położony na wysokości 1,000 st. nad poziomem morza, posiada dwie rzeki: Nidę i Kamienną, otoczony jest wielkiemi lasami iglastemi i sąsiaduje z górami Świętokrzyzkiemi. Wszyskie zatem łączy w sobie warunki stacyi leczniczej, skutecznej i przyjemnej.

* **Próby z hamulcem automatycznym** systemu Schleifera odbywają się na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, o ile wiemy, z nader pomyślnym rezultatem.

G. Cz.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika **dołącza się** dodatek z drzeworytami.

FABRYKA KUFRÓW, WALIZ I TOREB T. L. BREYMEYER WARSZAWA KRÓLEWSKA Nr 4 róg KRAK.-PRZEDM. POLECA WSZELKIE PRZYBORY DO PODRÓŻY, KONNEJ JAZDY I POLOWANIA, *WÓZKI, WELOCYPEDY, PANTOFLE I WYROBY KOSZYKARSKIE.* 45 3—12

Wierzbowa Nr 1
Wierzbowa Nr 1
Wierzbowa Nr 1
Zielna Nr 36
Zielna Nr 36
Zielna Nr 36
Marszałkowska 141
Marszałkowska 141
Marszałkowska 141

60—2—3

MARCELI WILDEN

poleca znane z pięknego i gustownego wyrobu

KAPELUSZE SŁOMKOWE

dla dam, mężczyzn i dzieci po cenach bardzo nizkich.

Sprzedaż detaliczna na Wierzbowej ulicy Nr 1 odbywa się na entresoli nad „Tanim sklepem,“ obok Składu Firanek F. Bukowskiego. Wejście tylko z ulicy.

Nowość ciepłe koszule „*Łaïson*“, które usuwają wszelką potrzebę używania trykotów, wzupełności zastępują elegancką i wygodną dziecinną bieliznę. Filja **Nowy-Świat Nr 67.**

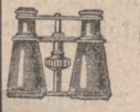


MAGAZYN Ubiorów Dziecinnych KOTZEBUE 2 róg Wierzbowej. WYBÓR materyałów

S. PRZEDZIECKI

CENY umiarkowane

MUNDURY, Szynele i Bluzy DLA UCZNI. 42—4—8



Pince-nez, okulary, najcelniejszych fabryk (mogą być za pomocą optometru zastosowane). Lornetki damskie długie, teatralne, Termometry, Barometry, Woreczki hygieniczne, zabezpieczające i inne wyroby optyczne poleca „najtaniej“ optyk **Julijan Dreher, (Szpitalna Nr 6).** Na prowincyę za zaliczeniem. Przyjmuje reperacyę. 81 8—12

Najtańsza Fabryka Bielizny Damskiej i Męzkiej

E. A. RADY

41—5—5

W WARSZAWIE, DANIELEWICZOWSKA Nr 8.

Poleca wybór gotowej bielizny o 20 proc. taniej od cen firm konkurencyjnych. Wszelkie obstalunki w zakres specyalności wchodzące, wykonywa z najlepszych materyałów szybko i dokładnie. PP. Handlującym odpowiedni rabat.

Cena rs. 5, zniżona na rs. 2.

Pisma Gabryeli

(Narcyzy Żmichowskiej).

Wydanie zbiorowe w 5 tomach z życiorysem autorki, skreślonym przez D-ra **Piotra Chmielowskiego**, sprzedaje z pozostałej małej liczby egzemplarzy, po cenie znacznie zniżonej. Księgarnia H. J. Rosenwejna, Marszałkowska Nr 114 w Warszawie. Cena rs. 5, zniżona na rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 50. 57—2—3



Specyalny Magazyn Okryć Damskich

A. Łojewskiej,

ULICA BRACKA Nr 10.

Poleca wielki wybór okryć wiosennych i letnich podług modeli osobiście sprowadzonych z pierwszorzędnych magazynów zagranicznych. 55—2—6

CENY BARDZO PRZYSTĘPNE.



NAKŁADEM KSIĘGARNI

G. CENTNERSZWERA

w Warszawie, Marszałkowska Nr 147.

Wyszły następujące dzieła:

Wernic H. Praktyczny Przewodnik wychowania rs. 2 k. 40, w ozdob. oprawie rs. 3.
Mantegazza P. Hygiena piękności kop. 60.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich 42—2—6

F. JĘDRZEJEWSKIEJ

W WARSZAWIE, 23 DŁUGA 23.

Wykonywa wszelkie obstalunki z możliwym pośpiechem podług ostatnich żurnali, tak z własnych jak i powierzonych materyałów, po cenach bardzo umiarkowanych. **WYKOŃCZENIE STARANNE.**

LABORATORYUM ŚRODKÓW ODŻYWCZYCH

W. HERBY,

Aleja Jerozolimska Nr 80 w Warszawie.

Poleca odżywcze środki dla rekonwalescentów, dzieci i osób wycieńczonych mianowicie: **Sok mięsny świeży** niezawodny środek wzmacniający i lekkostrawny, **wyciąg trzuskowy** przepisu d-ra M. Rajchmana proszek mięsny **Racahout des Arabes** nadzwyczaj smaczny i posilny napój **Kaszę leczniczę, Kakao słodowe, Kaszkę posilną i Lipaninę** czyli tran bez wstrętnego smaku tranu. 54—3—6

34—4—5

WODA KOLOŃSKA MIĘDZYRZECKA

Nagrodzona Wielkim Medalem Srebrnym na wystawie w Muzeum Przemysłu 1890 roku, jest do nabycia w pierwszorzędnych Magazynach Perfumeryjnych, Galanteryjnych i Składach materyałów aptecznych.

Skład Główny

Aleja Jerozolimska Nr 64. wprost Kruczej.

FARBIARNIA PAROWA, PRALNIA CHEMICZNA I ZAKŁAD DEZYNFEKCYJNY (Kamera)

Ch. GEBER,

(Grochów, Telefon Nr 164.) 39 5—16

Farbuje i czyści wszelką **garderobę** męzką **i damską**. Farbuje na sposób francuzki całkowite sztuki nowych materyi przędzę jedwabną dla panów fabrykantów i kupców, oraz drukuje desenie nowym systemem na wszelkich materyałach, na sukniach pranych i farbowanych.

Magazyny w Warszawie: Niecała № 9 (telefonu № 328), Marszałkowska № 116, Nowy-Świat № 49, Leszno № 4, Dzika № 9 i Praga Brukowa № 32.

PIERWSZA W KRAJU FABRYKA
Materacy z wełny drzewnej
Kaszyński i Gadomski
Królewska 17,

poleca materace płócienne od rs. 3 drelichowe od rs. 4 kop. 50. 101—10—10



!!!Najtaniej!!!

Zegarki, Zegary, BIŻUTERYA, Szkatułki samogrające oraz wszelka reperacya, poleca

M. POZZI, Zegarmistrz
Nowy-Świat 31
(róg Chmielnej).

Zamówienia z prowincyi wysyła za zaliczką pocztową. Cenniki franco. 27—6—6

FABRYKA

KAPELUSZY SŁOMKOWYCH, FILCOWYCH ORAZ MAGAZYN MÓD I KWIATÓW SZTUCZNYCH 47—3—4

E. LOTH,

Krakowskie-Przedmieście Nr 17, w Warszawie.

Poleca na nadchodzący sezon: Kapelusze damskie, męzkie i dziecinne z ubraniem i bez tegoż, w najnowszych formach i rodzajach plecionek, tanich i drogich. Kwiaty, Pióra i t. p. Kapelusze przyjmują się do prania i prasowania wyłącznie te, które równocześnie pozostawione są do ubrania. Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

WANDA SIWINSKA

Krakowskie-Przedmieście 61
wprost Resursy Obywatelskiej.

3 wielkie Medale srebrne na wystawach.

FABRYKA KWIATÓW

poleca Kapelusze damskie podług modeli paryskich od najtańszych do najwykwintniejszych. 50—3—7

Kaucyonowane Biuro Nauczycielskie

WALERYI MAX,

ul. Hr. Kocebue 2, w Warszawie.

Rekomenduje: Nauczycielki, Nauczycieli i Bony. Osoby na lekcye i korepetycye. Na zamówienia sprowadza z Paryża i Genewy Guwernantki i Bony. 24—5—6

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апрѣля 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.